Rozmaitosci.

Pismo to wychodzi w każdą NIEDZIELĘ, w Drukarni St. Gieszkowskiego.

Ner 46.

Zaliczenie na 3 miesiące kosztuje Złp. 3.

Kraków dnia 16 Listopada 1834 roku.

WILKOŁAK

Powieść.

—

(Dokończenie)

Musiał więc umierać z głodu, albo pozbyć się męczarni i cierpień samobóystwem. Byłby się jął pewnie tego sposobu, jako ostatniey pociechy, gdyby go nie zatrzymało na tym padole płaczu, wspomnienie miłości; tak jest, ten nędznik tak rozpaczający, który nienawidził rodzaju luazkiego, i cieszył się, że był z nim w otwartey walce; ta istota odosobniona od uczuć towarzyskich, które wynagradzają niedolę życia, bez inney podpory jak własnego sumienia, bez innego widoku jak wieśdź takie opłakane życie jak jego ojciec; wynędzniały, nie mogący zaspokoić pierwszych potrzeb życia, nękany zgryzotą, przejęty do żywego zawiścią i chęcią pomszczenia się, zezwalał na dalsze życie, bo był zakochanym! Otóż właśnie, dla czego opóźniał swóy ostateczny kres.

Szymon Gorde byłby jednym z nayładnieyszych chłopców w okolicy, gdyby niedostatek, ustawiczne krzywdy, jakie ponosić musiał, nie były go pozbawiły barwy jego liców, i zagłębiły oczów; przyzwyczaił się marszczyć brwi i rzucać oczami na bok. Pomimo tey niespokoyności i smutku, które ćmiły jego rysy, podziwiano szlachetność jego głowy uwieńczoney spływającemi włosami i umieszczoney na ciele bardzo szykownie zbudowaném, odznaczającem się nawet pod łachmanami; krok poważny i dumny, i poruszenia ciała, nie były pozbawione pewnego wdzięku wieyskiego, nawet miłe brzmienie głosu było bardzo stósownem do czystości jego wysłowienia się; słowem tak dalece odróżniał się od osób swojego stanu, iż można było domyślić się, że zazdrość nie była obcą krzywdom których był przedmiotem, kobiety same go go tylko żałowały, i ośmielały się lepiey o nim trzymać.

Salomea, żona Woyciecha Lorry, rzeźnika w Aix, bliskiem miasteczku, spostrzegła go raz przejeżdzając koło niego na koniu, a baśnie kmotrek, które obijały się o jey uszy, bynaymniey nie zmnieyszyły korzystnego mniemania, jakie powzięła o tym ładnym wilkołaku; zwracała się częstokroć ze swey drogi dla spotkania go i odpowiedzenia na jego serdeczny ukłon; gdyż Szymon poznawszy, że był celem jey uwagi, przypatrzył się dobrze ze swey strony Salomei i znalazł ją ładną. Jego wdzięczność wzrosła, i właśnie kiedy zgryzoty domowe, jedne po drugich, tak boleśnie dręczyły, oświadczył Salomei, że ją kocha.

Była godzina dziewiąta w wieczór, i wszyscy mieszkańcy wioski Ryan znaydowali się w swych domach dla przepędzenia wieczoru. Szy-

mon sam, nieporuszony, zadumany, wspartą mając głowę na ręku, wpatrywał się posępnem okiem w dwie głównie tlejące w popiele; nie uważał na świat północnego wiatru, który wstrząsał całym dachem, nie obchodziły go przeraźliwe krzyki żurawiów, które się spuszczały na trzęsawiska bagniste, ani wrzaski kruków siadających na wierzchu wyprowadzonego komina: dumał o duszach swych rodziców, i myślał w krótce się z nimi połączyć; gdyż zimno ścinało krew w jego żyłach, a głód rozdzierał i dręczył wnętrzności. Kiedy niekiedy wspomnienie miłości uśmierzało na chwilę te utrapienia, a błysk uśmiechu mignął się czasem po jego twarzy.

O Boże móy! położ koniec moim cierpieniom, szemrał utracając odwagę; ach! jakbym ja chciał bydź wilkołakiem, jak oni mówią!... Wywdzięczyłbym się im za wszystko złe jakie mi wyrządzili.... Nie karmiłbym się ich ciałem, nie rozlewałbym ich krwi, alebym prześladował, dręczył tych, którzy mi zabili mego oyca, moją matkę, moje siostry, całą mą rodzinę! Dla czegóż niemam władzy przemienienia się w wilka, kiedy ją posiadali moi rodzice? Znalazłbym przynaymniey ścierwo do pożerania, i nie umarłbym z głodu!... Sama jedna tylko Salomea mnie na świecie kocha! to jest dosyć dla mnie.

Szymon podawał się coraz bardziey tym żałosnym i zgryźliwym myślom. Głównie rozżarzone, które połyskiwały gasnącem światłem, słabo się opierały ciemnościom nocy, Szymon przejęty zimnem i niepokojony gwałtownem biciem pulsu, wstał poszukać drzewa i wrzucił w komin kilka gałązek chróstu i źdźbeł słomy, które nieco ożywiły gasnący ogień. Nie było więcey drzewa, a szukając pod piecem, kiedy przewracał stare graty i wióry, które matka przeznaczała do pieczenia chleba, natrafił na pudło skórzane, którego nigdy nie widział, porwał go jak gdyby zawierało skarb jaki, i odparł wieko zamknięte sprężyną.

To pudło, które oddawna nie było otwartem, zamykało ubiór zupełny wilkołaka: skóra barania z rękawicami zakończonemi w kształcie łap, ogon, maska, naśladująca pysk z zębami żółtemi zdechłego konia.

Szymon cofnął się przerażony swojém odkryciem tak niespodziewaném, że się zdawało należeć do czarów; potem rozkładał osobno każdą sztukę tego dziwacznego stroju, którego nieraz już używano, a długie zaniedbanie wiele nadpsuło; w ówczas przypomniał sobie cudowne powiastki, które mu dziadek opowiadał, kołysząc go jeszcze bardzo małego na swych kolanach; wyciskały one łzy matce, ale on ich słuchał śmiejąc się. W jego sercu odbywała się walka uczuć i nowych zamysłów. Nie przestawał oglądać w cichości tego zbrodniczego spadku po swych przodkach, i stopniami jego wyobraźnia gubiła się w szalonych myślach.

Głód, rozpacz, wzięły górę; przypatrywał się przedmiotom z zakrwawionemi oczyma, czuł swe zęby pragnące kąsać, doznawał niepojętey chęci biegania, zaczął wyć, jak gdyby był całe życie wilkiem, i przywdziały oznaki swego nowego powołania. Gdyby ten ubiór śmiesznie straszny zdolnym był sprawić w nim widoczniejszey zmiany; maligna wprawiła go w obłąkanie.

Zaledwie stał się wilkołakiem przez wpływ sukni, wyleciał zaraz z domu na pole pokryte szronem, i wystawione na zimny wiatr; wydawał okropne wycia, i przebiegał jak mara płaszczyzny, trzęsowiska i bagna. Ale o tey godzinie, w tey porze roku, żaden spóźniony podróżny niepokazał się oczom Szymona, któremu przykrość powietrza i nadzwyczayne wzruszenie biegu, powróciły uczucie jego szaleństwa, wył jeszcze, ale z głodu.

W tem turkot powozu, który się przybliżał, skierował w tę stronę jego uwagę, z początku wahającą się, potem bezrozumnie zastanowioną, opierał się razem dwom myślom przeciwnym, które mu doradzały uciekać i iść

naprzód. Wóz coraz bardziey się zbliżał, noc niebyła tak ciemna, aby nie mógł rozeznać kaplicy starożytnego zamku des Aix-d'Angillon. Znaydował się nie daleko pierwszych domów, które zatrzymały historyczne nazwanie: *słupa czarowników*; dawniey to mieysce było podeyrzanem, dziś jest zamieszkałe przez samych włóczęgów i żebraków.

Turkot powozu, który słychać było, był to przykryty wózek rzeźniczy Woyciecha Lorry, który dwa razy w tydzień dowoził świeżego mięsa wioskom pobliskim; odbywał Woyciech tę podróż nocą aby mógł zdążyć nazajutrz z powrotem, na początek targu. Szymon tak dobrze o tem wiedział jak i wszyscy, a spotkanie rzeźnika przypomniało mu, że jego żona sama pozostała w domu. Wahał się cokolwiek, czy się ma starać dostać do żony, czy też zaczepić męża. Głód wziął górę nad miłością, a gwizdanie jednostayne, którem rzeźnik pobudzał do śpiesznieyszego biegu swoją szkapę, ostrzegło go, aby nie tracił czasu; zawył żałosnym głosem i schwycił konia za wędzidło.

— Woyciechu Lorry, rzecze mu grubszym jak zwyczay tonem, jeść mi się chce, day mi dwa funty mięsa, jeśli chcesz mnie wybawić od śmierci.

— Swięta Salameo, zmiłuy się nademną! wykrzyknął rzeźnik przestraszony, czyż to ty jesteś Szymon Gorde z Ryan, wilkołak?

— Tak jest w rzeczy samey, odpowie Szymon, który chciał doświadczyć łatwowierności Woyciecha; wolałbym nasycić się surowem mięsem a niżeli pożerać twoje ciało; dayże, day, i pamiętay zawsze na bok odkładać moją część, ile razy jechać będziesz do Poirion i Solanges.

Szymon chcąc pokazać swoje przymioty wilkołaka łatwowiernemu rzeznikowi, stanął przy wozie, oparł na nim łapę, i zdawał się wąchać mięso. Woyciech Lorry, który wierzył w wilkołaki jak w Boga, ledwo zoczył tę szkaradną łapę, westchnął z całego serca, wzywając wszystkich świętych na ratunek, a porwawszy naypięknieyszy kawałek mięsa, rzucił go na ziemię skąd go Szymon niebawnie podniósł, ale rzeźnik tak gwałtownie szarpnął leycami konia, że ten ruszył galopem nie czekając bicza. *(Dokończenie nastąpi.)*

MYŚLI.

I. Duszę poziome, tyle doznają radości posłyszawszy o błędzie duszy wzniosłey, ile sowy z zaćmienia słońca.— *(Mirabeau.)*

II. Gdybym był założycielem jakiego nowewego społeczeństwa, tobym z niego naypierwey powyganiał tych wszystkich, którzy za wiele rozprawiają o cnocie.

III. Towarzystwo naukowe złożone z ludzi odznaczających się prawdziwemi talentami i głęboką nauką, jest naypięknieyszym w świecie związkiem; lecz towarzystwo pedantów i zarozumiałych nieuków, niczem się nierózni od menażeryi zwierząt.

IV. Doświadczenie nas uczy, że namiętności nikt jeszcze wymową niepokonał, i że tylko w otchłaniach zguby w które sama siebie pogrąża, znayduje uleczenie.

V. Niemasz pięknieyszey chwili tryumfu dla człowieka którego wyższość, czuje sama nawet nienawiść;— jak spotkać urągające weyrzenie tych, którzy według ewangelisty, niewarci mu zawiązać rzemienia u trzewika.

VI. Przewrotność naymizernieyszą gra rolę, w dziennikach zbyt wolnomyślnych.— Każdy ubiera ją w łudzące pstrociny swojey barwy;— lecz to wszystko, nic niepomaga,— bo jey twarz tak ma w sobie coś diabelskiego, że się nawet i w masce nieukryje.

VII. Milczenie ma w sobie tyle pięknych zalet, że nawet głupca, jeżeli nie szanownym, to przynaymniey znośnym uczynić może.

—

VIII. Młodzieniec skromnie wychowany, podobnym jest do róży rozkwitającey, która pełne słodyczy rozlewa do koła siebie wonie; — zepsuty, zarozumiały i grubych obyczajów, równa się lichemu zielu, które zwykle swóy zawód kończy na kupie śmieci.—

ANEKDOTKI.

Niedawno pewien kupiec w Sztetynie, chwalił się na wieczorze przed drugiemi, że jego żona posiada szczególny dar tuczenia gęsi, twierdząc że ich ma właśnie siedm, tak wypasłych, żé już chodzić niemogą.— Następney nocy skradziono mu wszystkie siedm gęsi utuczonych w chlewiku, i natomiast wsadzono 7 chudych, z karteczkami na szyi, na których był taki napis: »*Wczoray byłyśmy tłuste z łaski Jeymości, a dziś jesteśmy chude przez gadatliwość Jegomości.*»

—

Pewien xiąże niemiecki napisał do Lutra Marcina, ażeby mu przysłał nowego pastora, któryby był poczciwym, pobożnym, wymownym i uczonym teologiem. Że zaś poprzedni tak lichą pobierał płacę że prawie zgłodu umarł, przeto Marcin Luter, w zwyczayney swey popędliwości, wystrzygł z ćwiartki papieru postać podobną do pastora i posłał xięciu z następującą odpowiedzią: *»Jaka pensya, taki pastor.»*—

—

Mały złodziey siedział rok w inkwizytoryacie, a że kradzież była tak drobną, iż tylko na 3 miesiące prostego więzienia zasługiwał, sąd przeto wydał mu taki wyrok: »Ponieważ winowayca zasłużył tylko na trzech miesięczne więzienie, z potrąceniem wysiedzianego aresztu, a był istotnie uwięziony, przez 12 miesięcy, zostaje mu przeto 9 miesięcy *dobrych do potrącenia* na przyszłość, gdyby coś większego skradł.»—

RYS BRUTALA.

Każdy ma swóy gust, ja niezmiernie lubię brutalów. To są bardzo interessujące dla mnie istoty. Są ludzie, którzy z oburzeniem wspominają o brutalach, ja przeciwnie, z upodobaniem o nich mówię.— Człowiek grzeczny,— nieśmiały, — cichy,— łagodny, jest zwyczaynym członkiem społeczeństwa; szanuje go każdy, to prawda; lecz niewidząc; prędko go zapomina. Brutal każdemu da się uczuć, i dla tego lepiey utkwi w pamięci.— Ja kiedy używam samotnie chwil spoczynku nayczęściey przywodzę sobie na pamięć rozmaitych brutalów, których w mojem życiu znać mogłem, i śmieję się z nich czasem tak zapamiętale, — że gdyby mnie kto w tém położeniu zastał, rozumiałby że jestem w gronie 10 ludzi dowcipnych i wesołych,— z których plemienia, brutal nigdy jeszcze się nienarodził.

Początek jego, rozumie się, że niemoże bydź świetnym. Bo mógłżeby z rodziny ukształconey wyjśdź na świat nieokrzesany musułbas? On koniecznie musi mieć wychowanie bardzo zbliżone do obyczajów panujących w szynkowni, chociaż sam, niższą klassę ludzi, w naywiększey ma pogardzie, i bardzo słusznie, bo widok jey, przypomina mu zawsze samego siebie.— Zaraz sama powierzchowność brutala ma w sobie coś komicznego. Chód jego zamaszysty, wzrok napuszony, uprzedza w dość zabawnym sposobie, wielkie o sobie rozumienie;— wszystkie zaś manijery tak ma lokayskie, że ich nayłżeyszą obsłonką delikatności powlec nieumié.— Jest so prawdziwy bohatyr uliczny i bilardowy; istnienie bowiem brutala w towarzystwach ludzi udatnych tak bywa zazwyczay krótkie, jak krótko trwa panowanie jego nad samym sobą.— Jedyny to zaiste moment, w którym on mimowolnie czuje się bydź tak małym nic nieznaczącym, jak zero z szeregu liczb wyrzucone.— Lecz zobaczmy go w kawiarni, na bilarze, w traktyerni niższego rzędu, słowem na każdem inném mieyscu, gdzie mu się zdaje, ze coś znaczy?— Przysłuchaymy się w tenczas jego wypłowiałym konceptom, które on ma za wyskok dowcipu; przypatrzmy się wszystkim lansadom, tego telegrafu zakaretney politury? — a niepodobna nierozśmiać się serdecznie, i niebydź mu szczerze wdzięcznym za darowaną chwilę.—

Brutal ma tę jeszcźe zaletę, że dla nikogo nie jest strasznym, kto go podług wartości cenić umie. Jeden uśmiech dwuznaczny, często go w taki nielad wprowadzi, że sam siebie znaleść niemoże, sam niewie gdzie się podział.— Nigdy zaś nie jest śmieszniеyszym, jak w tedy gdy się na kogo dąsa, a zna dobrze swą niższość, że mu tego powiedzieć nieśmie.— To jest właśnie moment, w którym go naybardziey lubię.— W tedy brutal jest naydowcipnieyszą z karykatur jakie sobie wyobrazić potrafię, — słowem, ja tak przynaymniey myślę, — że gdzie niemasz brutalów, tam niemasz i materyi do rozweselenia umysłu.